Atra Mors

Czarna Śmierć
Fragmenty dziennika znalezionego w opuszczonej chacie
na skraju Wierzbowego Dołu

I.

Nie potrafię powiedzieć, czy to, co zobaczyłem w Wierzbowym Dole, było snem, czy jawą. Wiem tylko, że od tamtej nocy nie sypiam spokojnie, a każdy szelest gałęzi za oknem przyprawia mnie o dreszcz, którego nie potrafię opanować. Piszę to w roku 1927, w pokoju hotelowym w Arkham, gdzie schroniłem się przed czymś, czego nie sposób nazwać — choć wątpię, czy słowa zdołają oddać choćby cząstkę tej grozy, jaka spowija to przeklęte miejsce.

Wszystko zaczęło się od listu. Mój stryj, człowiek, którego ledwie pamiętałem, zmarł w osadzie o nazwie Wierzbowy Dół, położonej gdzieś na skraju zapomnianego przez Boga i ludzi pustkowia w głębi Massachusetts, o którym mapy milczą, a miejscowi z sąsiednich wsi mówią szeptem, żegnając się znakiem krzyża. Pisał do mnie, że jestem jego jedynym krewnym i że muszę przybyć, by odebrać spadek — choć nigdy nie wyjaśnił, co miałbym odziedziczyć. Wówczas nie wiedziałem, że ten list był pułapką, a spadek — przekleństwem.

Kiedy dotarłem na miejsce, Wierzbowy Dół okazał się osadą zaledwie kilku rodzin, żyjących w rozpadających się chatach wzniesionych na palach, otoczonych pierścieniem uschniętych wierzb. Ich gałęzie, powykręcane i bezlistne, sterczały ku niebu niczym szpony umarłych. Niebo nad osadą miało barwę ołowiu, a powietrze było gęste od wilgoci i czegoś jeszcze — słodkawego, mdlącego odoru rozkładu, który zdawał się wsiąkać w ubrania i skórę. Mieszkańcy patrzyli na mnie z tym samym wyrazem twarzy, jaki widziałem później u ludzi, którzy przestali już oczekiwać czegokolwiek od świata — z rezygnacją tak głęboką, że graniczyła z obojętnością na własne istnienie.

To oni opowiedzieli mi o Zgarbionych.

II.

Nie potrafię opisać ich inaczej niż jako istoty, które nie powinny istnieć w żadnym znanym mi porządku natury. Widziałem je z daleka — na skraju lasu, wśród potrzaskanych pni i uschłych zarośli, które otaczały osadę niczym żywopłot z koszmaru. Poruszały się wolno, zgarbione, jakby dźwigały na barkach ciężar całych wieków. Ich ciała okrywały łachmany czarne od błota i pleśni, powłóczyste szaty, które zdawały się zlewać z ciemnością lasu. Nie miały twarzy — a przynajmniej nie takich, które mógłbym rozpoznać jako ludzkie. Kaptury opadały nisko, a pod nimi widniała tylko czerń, gęsta i nieprzenikniona, jakby patrzyło się w otchłań, która patrzy z powrotem.

Ich kończyny były zbyt długie, zbyt cienkie, wykrzywione w stawach pod kątami, jakie nie występują u żadnego stworzenia. Poruszały się w sposób, który nie przypominał chodu — raczej pełznięcie, sunięcie, jakby ziemia sama je niosła. I ten dźwięk — nieustanny, cichy szelest, jakby tysiące suchych palców przesuwały się po korze drzew. Słyszałem go nawet we śnie.

Mieszkańcy Wierzbowego Dołu nazywali je „Tymi, Które Pamiętają”. Starsza kobieta, która przyjęła mnie do swej chaty, wyjaśniła mi kiedyś szeptem, że Zgarbieni nie są z tego świata. Przybyli z miejsca, którego nazwy nie sposób wymówić ludzkim głosem — z otchłani poza czasem, gdzie śmierć nie jest końcem, lecz wiecznym

trwaniem w rozkładzie. Mówiła, że są one sługami czegoś, co śpi pod lasem — czegoś tak starego, że gwiazdy zdążyły zgasnąć i narodzić się na nowo, odkąd ostatni raz otworzyło oczy. I że Zgarbieni są jedynie cieniami, jakie to coś rzuca na świat.

Nie są wrogami w ludzkim sensie. Nie zabijają dla przyjemności ani z głodu. Zabijają, bo tak im nakazano — bo ich pan, śpiąc, śni o końcu wszelkiego życia, a one wypełniają ten sen. Kto raz wejdzie do lasu po zmroku, ten nie wraca. Kto spojrzy w kaptur Zgarbionego zbyt długo, ten traci rozum. Kto usłyszy ich szept — a one szepczą, nieustannie, w języku, który nie został stworzony dla ludzkich ust — ten już nigdy nie zazna spokoju. Ich obecność nie budziła we mnie strachu przed bólem czy śmiercią. Budziła coś gorszego — przekonanie, że śmierć nie przyniesie ukojenia, że jest jedynie bramą do wiecznego trwania w tym samym mroku.

Z czasem zrozumiałem, że to, co śpi pod lasem, nie jest złe w ludzkim sensie. Jest obojętne — jak kosmos, który nie wie o istnieniu drobiny pyłu, jaką jest człowiek. Jego śnienie jest przypadkowe, a my jesteśmy jedynie drobinami w tym śnie. To czyniło grozę jeszcze większą — bo nie ma wroga, z którym można walczyć. Jest tylko obojętność. Zgarbieni nie są okrutni. Są jedynie posłuszni — wykonują wolę czegoś, co nawet nie zauważa ich istnienia.

III.

Las otaczający Wierzbowy Dół nie jest zwykłym lasem. To chory twór, żyjący własnym życiem, oddychający i obserwujący. Drzewa — wierzby, dęby, cisy — stoją martwe, ale nie próchnieją. Ich kora łuszczy się jak skóra trędowatego, a pod nią sączy się lepka, ciemna maź, która pachnie jak krew zmieszana z błotem. Gałęzie wyginają się w kształty, które zbyt przypominają ludzkie kończyny, by mogły być przypadkowe. W nocy las jęczy — nie skrzypi, nie szumi, ale jęczy, jakby cierpiał.

Ziemia jest miękka, grząska, pokryta warstwą zgniłych liści i czegoś jeszcze — czymś, co miejscowi nazywają „popiołem po umarłych”. Mówią, że każdy, kto zginął w lesie, zostaje wchłonięty przez ziemię, a jego ciało staje się częścią tego chorego ekosystemu. Dlatego las rośnie — bo żywi się śmiercią.

Pustkowie rozciąga się dalej, za lasem — bezkresna równina pokryta szarym pyłem, gdzie nie rośnie nic, a horyzont ginie we mgle. To tam, jak mówią, Zgarbieni mają swoje legowiska — w jamach wykopanych w ziemi, wśród szczątków tych, którzy odważyli się zapuścić zbyt daleko. Nikt stamtąd nie wraca. A jednak coś przyciąga — jakiś głos, jakiś szept, jakiś sen na jawie, który każe iść dalej, aż nogi same niosą w stronę tej szarości. I w tym szarym pustkowiu, w tej ciszy, która nie jest ciszą, lecz oczekiwaniem, czai się coś gorszego niż strach — poczucie, że wszystko, co istnieje, zmierza nieuchronnie ku końcowi, którego nikt nie zdoła odwrócić.

IV.

Mieszkańcy Wierzbowego Dołu żyją według praw, które przekazywane są z pokolenia na pokolenie — szeptem, w ciemności, przy świecach z łoju. Prawa te są proste, ale ich złamanie oznacza śmierć — i to nie taką, jaką znają ludzie z miast.

Po pierwsze: nie wolno wychodzić poza pierścień wierzb po zmroku. Nieważne, co się słyszy, nieważne, kto woła — nie wolno. Zgarbieni nie wchodzą do osady, dopóki granica jest nienaruszona. Ale jeśli ktoś ją przekroczy — nawet o krok — staje się ich własnością.

Po drugie: co siódmą noc należy złożyć ofiarę z popiołu. Mieszkańcy palą wówczas stare szmaty, kości zwierząt, a czasem — choć nikt nie chce o tym mówić — coś więcej. Dym unosi się nad osadą, a Zgarbieni na skraju lasu zatrzymują się, jakby węszyli. Potem odchodzą. Na tydzień.

Po trzecie: nie wolno wymawiać imion Zgarbionych. Nie mają ich zresztą w ludzkim sensie — ale mieszkańcy nadali im przezwiska, które są zakazane. Mówi się o nich tylko „One” albo „Tamci”. Wymówienie ich prawdziwego imienia — tego, które usłyszeć można tylko we śnie — przywołuje je natychmiast.

Po czwarte: co roku, w noc, którą mieszkańcy nazywają nocą Atra Mors — Czarnej Śmierci — tę samą noc, w którą według kalendarza zmarł stryj, gromadzą się

w kaplicy bez okien i modlą się do czegoś, czego nie potrafię nazwać. Nie do Boga. Do tego, co śpi pod lasem. Modlą się, by spało dalej. By nie obudziło się i nie spojrzało na świat. Bo jeśli otworzy oczy — wszystko, co istnieje, przestanie istnieć. Nazwa ta nie była przypadkowa — oznaczała bowiem nie tylko zarazę, która niegdyś wygnała przodków mieszkańców na to pustkowie, lecz także coś głębszego: wieczną, czarną śmierć, która nie kończy się wraz z ciałem, lecz trwa — w śnieniu, w ziemi, w Księdze. Atra Mors była przekleństwem, które nie zabijało, lecz odbierało nadzieję na jakikolwiek koniec.

Te rytuały nie przynosiły im ulgi. Nie było w nich nadziei na wybawienie. Były jedynie aktem rozpaczy — przyznaniem, że jedyne, co można zrobić, to odsunąć nieuniknione o jeszcze jedną noc, o jeszcze jeden tydzień, o jeszcze jeden rok.

Kaplica bez okien stała na skraju osady, w miejscu, gdzie pierścień wierzb był najrzadszy. Była to niska, kamienna budowla, wzniesiona z głazów tak starych, że nie pamiętano, kto je ułożył. Wnętrze było puste — żadnych ołtarzy, żadnych symboli, żadnych obrazów. Tylko kamienna posadzka, na której wyryto krąg, i otwór w suficie, przez który sączyło się mdłe światło. W noc Atra Mors mieszkańcy gromadzili się w tym kręgu i odmawiali modlitwy w języku, którego nie rozumiałem — cichym, jednostajnym, pozbawionym emocji. Nie było w nich błagania. Była recytacja. Jakby powtarzali coś, co zostało im nakazane, a nie coś, w co wierzyli. A gdy modlitwy się kończyły, Strażnik otwierał Księgę i odczytywał imię. Wtedy na skraju lasu pojawiał się cień — milczący, nieruchomy, patrzący. I trwał tak przez całą noc, aż do świtu, gdy rozwiewał się jak dym.